

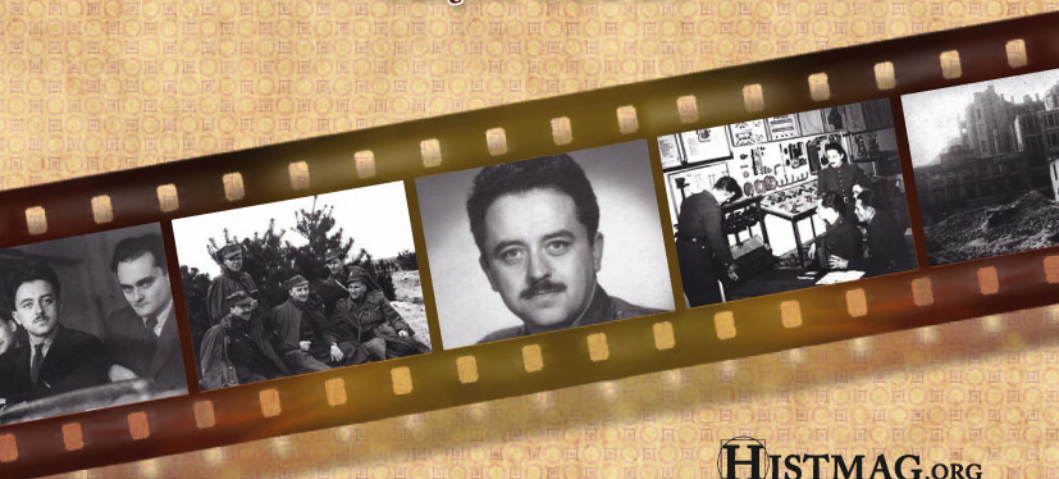
Maciej Bernhardt

Z MIODOWEJ NA BRACKĄ

Opowieść
powstańca warszawskiego



CZEŚĆ DRUGA



Książka dostępna w sprzedaży w przystępnych cenach:
— w wersji papierowej i elektronicznej — na stronach portalu
Histmag.org <<http://histmag.org>>.

Jeśli korzystasz z publikacji z naruszeniem praw autorskich,
zachęcamy do zakupu oryginału i wsparcia jej twórców.

Maciej Bernhardt

Z Miodowej na Bracką

Opowieść powstańca warszawskiego

Część druga

Kraków 2012

Redakcja merytoryczna:
Roman Sidorski

Projekt okładki, skład i łamanie:
Piotr Pielach

Marketing, koordynacja działań promocyjnych:
Michał Świgoń

Wszystkie wykorzystane fotografie zostały udostępnione przez autora i pochodzą z jego prywatnych zbiorów.

Z Miodowej na Bracką. Opowieść powstańca warszawskiego. Część druga
Copyright © 2011 by i-Press Piotr Pielach
Copyright © 2012 by Promohistoria Michał Świgoń
All rights reserved

ISBN: 978-83-935967-0-6

Wydanie elektroniczne
Kraków 2012

Portal internetowy „Histmag.org”
e-mail: redakcja@histmag.org
www: <http://histmag.org/>

i-Press Piotr Pielach
e-mail: info@i-press.pl
www: <http://i-press.pl>

Śląsk

Katowic praktycznie nie znałem. W maju lub czerwcu 1939 roku byłem w tym mieście przejazdem z wycieczką szkolną, której zasadniczym celem było Zaolzie. Zapamiętałem jedynie katowicki dworzec kolejowy, teatr i wspomniały zespół szkół technicznych.

Krupiński

Pytając w informacji na dworcu o instytucję, którą kierował inżynier Krupiński, przekreśliłem jej nazwę i w pierwszej chwili powiedziano mi, że takiej tu nie ma.

— A kogo pan tam szuka?

— Inżyniera Krupińskiego — odrzekłem.

— No to znajdzie go pan w... — tu padła nazwa jakiegoś zarządu czy dyrekcji, której dziś już nie pamiętam. — Ale to jest bardzo ważny dyrektor, niełatwo będzie się do niego dostać.

Dostałem jednak adres i wskazówki, jak tam trafić. Biuro mieściło się stosunkowo niedaleko dworca, w zupełnie niezniszczonym, potężnym budynku, który zachował jeszcze wyraźne ślady przedwojennej solidności i pewnego luksusu. Prymitywne tablice przy wejściu wskazywały, że mieści się w nim kilka instytucji.

Krupiński przyjął mnie bardzo oficjalnie, niemal tak, jakby mnie widział po raz pierwszy:

— Teraz nie mam czasu na rozmowę. Gdzie się pan zatrzymał?
— do tej pory zawsze zwracał się do mnie po imieniu.

— Nigdzie. Przyszedłem prosto z pociągu.

— Skrzywił się z wyraźną dezaprobatą.

— Po co pan tu przyjechał?

— Myślałem, że chciałby pan porozmawiać ze mną o Andrzeju.

A poza tym nie mam co robić w Warszawie: dom nasz został całkowicie zniszczony, moja matka i siostra zginęły, ojciec mieszka we wsi, dokąd go wywieziono¹. Muszę znaleźć pracę i zapewnić mu jakąś egzystencję. Myślałem, że się tu na coś przydam.

Przerwał mi:

— Ma pan tu mój adres. Proszę przyjść o ósmej wieczorem. Powinienem już być w domu.

Pożegnałem się i wyszedłem. Byłem zaskoczony takim przyjęciem. Miałem ochotę iść na dworzec i jechać do Gdańska. Wytłumaczyłem sobie jednak, że rozmowa o śmierci Andrzeja musiałaby wyprowadzić go z równowagi i nie chciał okazywać tego w pracy. W domu zapewne znów zobaczę znanego mi Krupińskiego. Było około trzeciej po południu. Co tu robić przez pięć godzin w obcym mieście?

Zapytałem panią w sekretariacie, gdzie tu można coś zjeść. Ponad dobę nie miałem w ustach nic prócz sucharów (przydały się!) i wody.

— Tu w gmachu jest kuchnia, gdzie wydają pracownikom zupełnie chleb, ale jest już chyba za późno, a ponadto trzeba mieć kartki na jedzenie. Tu są wciąż wielkie trudności z aprowizacją. Szef panu nie dał? On ma kartki dla swoich gości.

— Nie było o tym mowy.

¹ W Wielgomłynach pod Radomskiem, dokąd trafił, gdy na dom autora i jego rodziny spadły niemieckie bomby, burząc budynek i zabijając przebywających w nim ludzi. Więcej w pierwszym tomie wspomnień M. Bernhardta, *Z Miodowej na Bracką. Opowieść powstańca Warszawskiego*, Kraków 2009, s. 282–306 [przyp. red.].

— Niech pan poczeka, może uda mi się coś załatwić. — Zatelefonowała do kogoś, padło nazwisko Krupińskiego. Znalazła się zupa i chleb, a także możliwość przesiedzenia tych paru godzin w ciepłym pomieszczeniu.

Do mieszkania Krupińskiego było niedaleko. Dowiedziałem się jak tam trafić i wyszedłem z ciepłego gmachu tak, żeby być na miejscu dokładnie o godzinie ósmej. Trafiłem bez kłopotu. Dom prezentował się z zewnątrz bardzo dobrze. Klatka schodowa była luksusowa.

Otworzył mi sam Krupiński. Bez słowa poczekał, aż zdejmę swą papierową kurtkę, wszedł pierwszy do pokoju i przywitał mnie słowami, które zapamiętam do końca życia:

— Dlaczego ty żyjesz, a Andrzej zginął? Po co wyście go w to wciągnęli, przecież to wszystko nie miało sensu od początku? Myślałem, że jesteś mądrzejszy, ale sam się nabrałeś i jego do tego namówiłeś — po raz pierwszy znów odezwał się do mnie per ty.

Dosłownie zbaraniałem, usłyszawszy takie przyjęcie. Milczałem, bo i cóż można było odpowiedzieć? Miałem ochotę wyjść. Zrobiłem ze dwa kroki w kierunku przedpokoju i usłyszałem w formie rozkazu:

— A teraz opowiedz mi wszystko, co wiesz.

— Pozwoli pan, że usiądę. Nie doszedłem jeszcze do pełni sił, byłem ranny ostatniego dnia powstania. Całą wczorajszą noc jechałem tu na lokomotywie, bo nie było innej możliwości.

Przesadziłem trochę z tym brakiem sił, ale sposób, w jaki mnie traktował, wyprowadził mnie z równowagi. Usiedliśmy. Opowiadanie było krótkie, tak jak udział Andrzeja w Powstaniu. Krupiński przerywał mi co chwila, pytając o szczegóły, których najczęściej nie znałem lub nie zapamiętałem. Gdy powiedziałem, że do Puszczy prowadził nas dowódca kompanii porucznik „Starza”, przerwał mi i zapytał, jak on się naprawdę nazywał i co się z nim stało. Był wściekły, gdy usłyszał, że nie znałem jego nazwiska, bo zarówno w konspiracji, jak i podczas Powstania, operowaliśmy wyłącznie pseudonimami. Co się z nim stało, także nie wiedziałem. Zanim zostałem

ranny, nie słyszałem, aby zginął lub był ranny, a co było dalej — nie umiałem powiedzieć.

— Nic nie wiesz! Nazwiska dowódcy nie znasz, czy żyje, nie wiesz, jak był ubrany Andrzej — też nie wiesz...

— Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, czym były dwa miesiące powstania, praktycznie cały czas na pierwszej linii. Pod Boernerowem² zginęła także moja narzeczona i pięciu — nie wiedziałem wtedy, że Staszek Witoszyński³ się uratował — moich najlepszych przyjaciół. Nie pamiętam, jak była ubrana Hanka⁴, nie zapamiętałem też, jak byli ubrani koledzy z wyjątkiem Zbyszka Przeszepskiego, który przyszedł w beżowej, zamszowej wiatrówce. Zginęli po dieśięciu–jedenastu godzinach powstania. Mój własny strój pamiętam chyba tylko dlatego, że jako jedyny w kompanii, a może nawet w całym batalionie, przyszedłem na zbiórkę w przedwojennym mundurze przysposobienia wojskowego.

Zmitygował się trochę.

— Przygotuję coś do zjedzenia, jestem na razie sam na gospodarstwie. Stołuję się w pracy, w domu jadam tylko kolację. Mam tu jakieś konserwy, herbatę, chleb. Musisz tu zanocować, bo od ósmej jest tu godzina policyjna.

Nikt mi wcześniej o tym nie powiedział, przyszedłem tu punktualnie na ósmą, ale mógł mnie zgarnąć pierwszy patrol wojskowy lub milicyjny...

² Dzielnica Warszawy na przedpolu Puszczy Kampinoskiej. 2 sierpnia 1944 roku, podczas przemarszu z Marymontu do Puszczy Kampinoskiej, kompania, w której służył autor, natknęła się na stacjonujący tam oddział niemiecki i znalazłszy się pod ogniem karabinów maszynowych poniosła ogromne straty. Więcej: tamże, s. 199–209 oraz w aneksie 3. do niniejszego tomu [przyj. red.].

³ Przyjaciel autora z czasów okupacji. Więcej w *Z miodowej na Bracką...*, passim [przyj. red.].

⁴ Hanka Rychłowska, narzeczona autora. Więcej tamże [przyj. red.].

— Ja nie zwracam na to uwagi, mam stałą przepustkę — cóż można było na to odpowiedzieć?

Przy skromnej kolacji Krupiński mówił cały czas o problemach związanych z przejmowaniem i uruchamianiem kopalń. Operował terminami, o których nie miałem pojęcia. Nagle urwał rozmowę, szukając jakiegoś talerza czy szklanki.

— Dostałem to mieszkanie po jakimś dygnitarzu niemieckim. Musiał uciekać dosłownie w ostatniej chwili, bo na stole zastałem talerze z napoczętym jedzeniem. Wszystko zostawił. Szafy są pełne ubrań, bielizny, pościeli. Nie mam czasu, żeby to wszystko przejrzeć. Nie nauczyłem się jeszcze, gdzie są jakie naczynia. Jak żona przyjedzie, to się tym zajmie. Na razie jej tu nie ściągam, bo tu jest strasznie ciężko z aprowizacją.

Kilkakrotnie wspominałem w rozmowie, że mój Ojciec (o którym wiedział, że jest inwalidą bez ręki ciężko chorym na serce) mieszka teraz na zapadłej wsi w mieszkaniu bez kanalizacji. Nie wiem, czy nie dotarło to do niego, czy też była to jego reakcja związana z wyrażonymi na wstępie pretensjami. Pokutowały we mnie wtedy jeszcze resztki przedwojennego dobrego wychowania i uważałem, że nie mogłem wprost prosić o pomoc z jego strony — należało jedynie wspomnieć o swej sytuacji w taki sposób, żeby stworzyć mu możliwość wystąpienia z odpowiednią propozycją.

Po kolacji mój gospodarz wyciągnął z szafy poduszkę oraz koc i wskazał na kanapę.

— Jutro przyjdź do mnie do biura o godzinie dziesiątej, to załatwię ci jakąś pracę. Ja wychodzę o siódmej, ale nie musisz wstawać razem ze mną. Wyśpij się. Wystarczy, że zatrząsniesz drzwi. Nie musisz też po sobie sprzątać, bo rano przychodzi tu sprzątaczką. Idź spać, widzę, że już ledwie siedzisz.

Nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać. Obudziłem się naza-jutrz około ósmej. Bez pośpiechu wykąpałem się w eleganckiej łazience i zjadłem śniadanie. Jedyne woda i chleb były miejscowe. Masło,

sery topione, konserwy, dżem, kawa rozpuszczalna, cukier, a nawet sól pochodziły z otwartej paczki UNRRA. Jeszcze trzy podobne nierozpakowane paczki stały w kącie w kuchni. Kłopoty zaopatrzeniowe nie wyglądały tu bardzo groźnie.

Miałem jeszcze trochę czasu do wyjścia na umówione spotkanie. Z ciekawości rozglądałem się po mieszkaniu. Było kompletnie umeblowane, na podłodze leżały dywany, na ścianach zaś wisiały obrazy w solidnych ramach. Przynajmniej się, że z ciekawości otworzyłem drzwi od szafy. Półki były zapchane „na sztywno” bielizną pościelową, obrusami, ręcznikami, a obok na wieszakach zobaczyłem kilka ubrań, jesionkę, płaszcz podbity futrem. Biblioteka pełna była niemieckich książek, do tego leżały tam jakieś bibeloty i aparat fotograficzny Leica w futerale.

Kopalnia Kleofas

W biurze Krupiński przyjął mnie bez czekania. Wyjął kartkę papieru i napisał (pamiętam dokładnie wszystko z wyjątkiem nazwiska dyrektora): „Kopalnia Kleofas — Katowice Załęże. Dyrektor xyz. Przysyłam panu Macieja Bernhardta, technik-mechanik, może być przydatny”; do tego podpis.

— Proszę, przyjmą pana — znów przeszedł na „pan”.

„Przecież ja nie mam pojęcia o kopalni węgla — pomyślałem — Co ja tam mogę robić?”. Podziękowałem jednak i wyszedłem.

W biurze kopalni otrzymałem od jej dyrektora kolejną kartkę, z nowym nazwiskiem i funkcją. Nie zapytał mnie nawet, co umiem robić i jakie mam wykształcenie.

— Panie dyrektorze, ale ja nie mam gdzie się podziac w Katowicach. Dzisiejszą noc przespałem u inżyniera Krupińskiego, ale przecież nie mogę u niego mieszkać.

— To załatwi kierownik warsztatu mechanicznego, do którego pana kieruję.

— Przy okazji muszę panu powiedzieć, że nie mam pojęcia o kopalni węgla i zupełnie mnie nie interesuje technika górnicza. Znam się nieco na silnikach spalinowych, pomiarach warsztatowych, dość dobrze dają sobie radę w laboratorium metalograficznym.

— To już sprawa kierownika warsztatu, jak pana wykorzysta.

Kierownik warsztatu przyjął mnie przyjaźnie. Powiedziałem mu dokładnie to samo, co jego szefowi.

— Panie techniku, tu nie ma takiej roboty, o jakiej pan mówi.

— No to co będzie należało do moich obowiązków?

— No, rozdzielenie roboty i nadzór w warsztacie mechanicznym.

Pomyślałem, że to idiotyzm dawać mi robotę, o której nie mam pojęcia, gdy wszędzie potrzeba ludzi, w tym z całą pewnością i takich z moimi kwalifikacjami.

— Spróbuję, zobaczymy co z tego wyjdzie, choć nie ukrywam, że wołałbym pracować przy czymś, na czym się znam i co lubię. Od kiedy mam zacząć?

— Od jutra, od szóstej rano.

— Co mam ze sobą zrobić, gdzie mam się zatrzymać?

— Nie ma tu kłopotu z mieszkaniami. Sporo Niemców uciekło, innych aresztowano... Przydzielimy panu mieszkanie, ale to dopiero jutro. Dziś już za późno, żeby to załatwić.

— Ale co mam ze sobą zrobić dziś?

— Niedaleko są baraki dla robotników przymusowych zwiezionych przez Niemców niemal z całej Europy. Dam tam panu skierowanie na jedną noc, a jutro będzie pan już w swoim mieszkaniu.

Baraki były pełne ludzi czekających na repatriację. Wybrałem sobie barak francuski, którego lokatorzy stanowili zbieraninę z różnych miejsc przymusowej pracy. Niemal wszyscy byli robotnikami niewykwalifikowanymi, zaś wszyscy mieli jakieś kufferki, walizki, toboły. Mój nader skromny dobytek, a raczej jego kompletny brak,

budził ogólne zainteresowanie. Poczęstowali mnie konserwami (też z UNRRA), winem — nie wiem skąd je mieli — i byli bardzo serdeczni. Wreszcie jeden z nich, wyraźnie inteligentniejszy od pozostałych, zapytał mnie z jakich stron Francji jestem, bo po akcencie nie może rozpoznać. Nie chciał uwierzyć, że jestem Polakiem, przyjechałem do pracy i dostałem tu skierowanie tylko na jedną noc.

— A gdzie tak dobrze nauczyłeś się francuskiego? Niemożliwe, żeby w szkole.

Pokazałem mu kenkartę z warszawskim adresem. Obejrzał, ale nie wyglądał na przekonanego.

— Masz tu rodzinę?

— Matka i siostra zginęły w Warszawie. Ojciec inwalida jest na wsi wśród obcych ludzi.

— Nie bądź głupi, jedź z nami do Francji — co tu masz do roboty? Tam też kraj zniszczony wojną, ale nie tak jak tu. Mówisz bardzo dobrze po francusku, wyrzuć kenkartę, wymyśl sobie historię, skąd cię wywieźli i gdzie pracowałeś u Niemców, bo o to pytają. Jak ci zabraknie słowa po francusku, to powiesz, że przez parę lat nie miałeś okazji mówić w tym języku. Tu z nami są tacy, co po francusku trochę tylko rozumieją i ledwo potrafią sklecić kilka zdań. Udają, że byli kontuzjowani podczas nalotów, słabo słyszą i strasznie się jękają. Diabli wiedzą, kim są naprawdę. Tu kontrola jest bardzo powierzchowna. Władze starają się jak najprędzej wyekspediować wszystkich, bo nie mają dość żywności i pomieszczeń. Transporty do Francji, Belgii i Holandii idą bardzo okreźną drogą — przecież wojna jeszcze trwa. Co jakiś czas jednak odchodzą.

— Dziękuję za kuszącą propozycję, ale tu jest mój kraj i moje miejsce. Mam też pod moją opieką ojca inwalidę.

Miałem nosa, że nie skorzystałem z tej oferty. Jak się później dowiedziałem, wśród robotników francuskich było bardzo wielu komunistów, którzy aktywnie pomagali w wyłapywaniu przeciwników nowego porządku i niejeden z amatorów łatwego wyjazdu na zachód

pojechał w przeciwnym kierunku. Kontrola w Katowicach być może była dość pobłażliwa, dalej jednak kontrolowano bardzo szczegółowo. Szukano zarówno zbrodniarzy wojennych, jak i uciekających przed nową władzą.

Ulica Ratuszowa

Na drugi dzień rano, po minimalnych formalnościach, dostałem przydział na mieszkanie służbowe. Adres: Chorzów Batory, ulica Ratuszowa, numer chyba 9. Pojechałem tam wraz z pracownikiem administracji kopalnianej, starym górnikiem inwalidą, który po drodze wypytywał mnie, kim jestem i skąd się tu wziąłem. Zdziwił się, że przydzielono mi tu mieszkanie, skoro jestem technikiem.

— Zbyt dobre, czy zbyt złe? — zapytałem.

— Sam pan zaraz zobaczy.

Mieszkanie było na pierwszym, a może na drugim piętrze domu z czerwonej cegły. Wejście do kuchni z piecem węglowym i zlewem, dalej dwa pokoje w amfiladzie. Bez łazienki, z ubikacją nawet nie na klatce schodowej, lecz w podwórzu. Umeblowanie przedstawiało się bardzo skromnie, choć w mieszkaniu było pianino i radio lampowe. Na łóżkach leżała pościel, w kredensie znalazłem resztki kiepskiego serwisu i kilka szklanek, a w kuchni trochę garnków. W szafie wisiał mundur Hitlerjugend i trochę jakichś szmat. Nie oczekiwałem luksusów, ale to było chyba jakieś nieporozumienie.

— Przecież tu nawet nie ma gdzie się umyć! Mam starego ojca inwalidę, jak on będzie chodzić do ubikacji na podwórzu?

Mój przewodnik był wyraźnie skonfundowany.

— Czy pan naprawdę jest technikiem? Jak pan trafił na naszą kopalnię? Przepraszam, że pytam. Jestem starym socjalistą — dostałem za to od Niemców, widzi pan, zostałem inwalidą, ledwie mogę chodzić — ale czegoś tu nie rozumiem.

— Jestem proszę pana technikiem budowy maszyn i mam dwa lata studiów na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej. W Warszawie podczas powstania wszystko straciłem, więc przyjechałem tu, bo słyszałem, że potrzeba ludzi do roboty. Poznałem podczas okupacji inżyniera Krupińskiego, poprosiłem go o pomoc w znalezieniu pracy. Skierował mnie do was. Trochę się dziwię, bo o kopalni węgla nie mam pojęcia.

— Przepraszam, a pana ojciec jaki ma zawód?

— Jest lekarzem, podczas wojny stracił rękę, a podczas powstania żonę, córkę i wnuka. Teraz jest ciężko chory i w bardzo złym stanie psychicznym.

— Przecież tu bardzo brakuje lekarzy. Większość pobrali do wojska, a ci nieliczni, których nie wzięli, to przeważnie uciekli. Nic nie rozumiem, nic zupełnie. A Krupiński to zna pana ojca?

— Osobiście nie, ale wszystko o nim wie. Byłem kolegą jego syna, który wiele razy był u nas w domu. Zginął podczas powstania.

— Niech pan bierze to mieszkanie. Zawsze to lepsze niż barak, w którym pan dziś nocował. Mieszkań u nas nie brakuje, to ludzi brakuje do roboty, zwłaszcza fachowców. Zamienimy panu mieszkanie na lepsze, sam tego dopilnuję. Jestem starym socjalistą, z moim zdaniem w kopalni się liczą. Sam dopilnuję. Ojca niech pan ściągnie jak najprędzej, lekarzy strasznie tu brak. A swoją drogą, czegoś tu nie rozumiem.

Zastanawiałem się chwilę czy przyjąć to mieszkanie, czy też podziękować i za robotę, i za mieszkanie. Miałem wielką ochotę na to ostatnie rozwiązanie, ale głupio mi było wobec starego górnika.

— Wie pan ja też wielu rzeczy nie rozumiem, ale podpiszę, że przyjmuję to mieszkanie. Muszę ściągnąć ojca. Z wielu powodów muszę to zrobić jak najprędzej.

— Jak pan to już zrobi, to proszę mnie zawiadomić.

Zostałem sam we własnym mieszkaniu. Pierwszą rzeczą, jaką trzeba było zrobić, było napalenie w piecu. Węgiel był w skrzyni

w kuchni, podobnie jak parę szczapek drewna. Po chwili ogień buzował pod kuchenną płytą. Przeniosłem go do pieców w obu pokojach. Powoli zaczęło robić się cieplej.

We wskazanej przez sąsiadkę piwnicy i komórce było dużo węgla i marne resztki ziemniaków. Przygotowałem kolację: ziemniaki w mundurkach i przegotowana woda. Niczego więcej w domu nie było... przepraszam, była jeszcze sól. Tak rozpoczynałem nowy rozdział mojej historii.

Na drugi dzień rano pojechałem do pracy w warsztacie mechanicznym w kopalni Kleofas. Kierownik warsztatu przyjął mnie bardzo chłodno. Rozumieliśmy się kiepsko, gdyż on używał niemal wyłącznie niemieckich określeń technicznych (w najlepszym wypadku niemieckich spolszczonych), a ja polskich. Niektórych nazw urządzeń górniczych nie znałem w ogóle.

Pierwszym zadaniem, jakie dostałem, było wykonanie rysunku technicznego rolki transportera pasowego, która uległa uszkodzeniu i trzeba było dorobić nową. Przypuszczam, że był to ze strony szefa swego rodzaju egzamin. W kopalni takich transporterów są setki metrów, a rolki liczy się w tysiącach sztuk — nie wyobrażam sobie, aby przy każdej potrzebie wymiany sporządzano rysunek i wykonywano według niego pojedyncze sztuki.

Wprawiłem szefa w zdumienie, gdy zapytałem go, gdzie mogę dostać poradnik techniczny Dubbela lub Hüttego — znakomite i znane od kilku dziesiątków lat niemieckie „kalendarze techniczne” dla konstruktorów i technologów. Okazało się, że takimi rarytasami dysponował jedynie niemiecki inżynier, który zniknął. Na szczęście jego biblioteka została. Zajmowany przez niego pokój był dość dokładnie wyszabrowany, ale książek i suwaka logarytmicznego nikt nie ruszył. Zostały teraz przeniesione do szuflady przydzielonego mi stołu.

W „biurze” warsztatu nie było nie tylko stołu kreślarskiego, ale nawet deski i żadnych przyrządów kreślarskich. Obiekt do narysowa-

nia był bardzo prosty. Zrobiłem w ciągu pół godziny odręczny rysunek techniczny i zaniósłem szefowi.

— Szybko się pan z tym uwinął.

— Przecież to drobiazg, gdybym miał wszystko, co potrzebne do kreślenia, to mógłbym to zrobić dwa razy szybciej.

— To rysował pan bardziej złożone elementy?

— Owszem, nie tylko rysowałem, ale też projektowałem.

— Na przykład?

— Głowicę silnika spalinowego — nieco tu przesadziłem, bo był to projekt studencki.

— Przecież to odlew.

— Tak. Projektowałem także formy i rdzenie odlewnicze. Oczywiście wyrażały jednocześnie niedowierzenie i przerażenie.

— Dziwi się pan pewnie co ja tu robię w tym warsztacie. Ja też się dziwię, bo na tych urządzeniach, z którymi tu macie do czynienia, zupełnie się nie znam. Ale postawiono mnie tu do pracy, to będę robić wszystko co trzeba, aż nie znajdzie się ktoś, kto mnie tu zastąpi, a ja przejdę do innej roboty, na której się trochę znam.

Moje przemówienie spowodowało, że humor szefa radykalnie się poprawił. Byłem potwornie głodny i z trudem doczekałem się przerwy śniadaniowej, w czasie której można było otrzymać zupę i chleb. Dla poważnej części pracowników było to podstawowe pożywienie na cały dzień, a niektórzy część otrzymanej zupy wynosili w menażkach do domu dla rodziny. Tego dnia w stołówce wydawano ekstra przydział. Znalaziono gdzieś ukryte jeszcze przez Niemców skrzynie francuskich sardynek w oleju i innych ryb w sosie pomidorowym. Wszyscy członkowie załogi dostali po kilka pudełek tych smakołyków, a dodatkowo także po dwie cebule i kilka marchewek. Była to zdobycz specjalnej brygady zaopatrzeniowej, która przywozła je gdzieś z centralnej Polski. Po powrocie do domu ugotowałem na kolację bardzo dziwną potrawę, słynną już w mojej rodzinie, choć nikt ni-

gdy nie odważył się jej przygotować. Była to kartoflanka z marchewką na sardynkach. Nawet mi wtedy smakowała.

Ojciec przeprowadza się na Śląsk

Nie umiem określić, kiedy rozpocząłem pracę w „Kleofasie”. Wiem tylko z całą pewnością, że w moje imieniny (24 lutego) pracowałem już od co najmniej tygodnia. Po kilkunastu dniach pracy dostałem od mego szefa kilka dni urlopu na przywiezienie Ojca. Byłem z nim w kontakcie — o dziwo poczta działała zupełnie sprawnie, a list z Katowic do Wielgomłyn szedł trzy dni. Uzgodniliśmy listownie, że mimo nie najlepszych warunków w moim nowym mieszkaniu nie ma sensu dalsze przebywanie Ojca na wsi.

Wyjazd do Wielgomłyn zaczął się pechowo. Zasnąłem i choć wyszedłem z domu bez śniadania, miałem małe szanse na zdążenie na czas na dworzec w Katowicach. Do tego jeszcze tramwaj uciekł mi dosłownie sprzed nosa. Poczekaliśmy jednak na następny. Dojeżdżając do Katowic wiedziałem już, że nie zdążę dojechać na stację przed godziną planowego odjazdu pociągu.

Okazało się, że w tramwaju jechało oprócz mnie jeszcze kilka innych osób, amatorów dostania się do tego samego pociągu. Jak wynikało z ich głośnych rozmów i wielkich tobołów, byli to handlarze wiozący stąd różne wyszabrowane rzeczy, a przywożący z centralnej Polski żywność. Zgodnie twierdzili, że pociągiem tym jechali już kilkakrotnie i zawsze odchodził on punktualnie, natomiast później często stał pod semaforem i jedyna szansa złapania go, to dojechanie tramwajem do Sosnowca. Zawierzyłem bardziej doświadczonym.

Zbliżając się do Sosnowca, tramwaj jechał równoległe do linii kolejowej — torowiska rozdzielało trzysta–czterysta metrów wertepów. Zobaczyliśmy nasz pociąg stojący pod semaforem. Część bywalców twierdziła, że należy biec ile sił w nogach i tu próbować go złapać.

Spis treści

Przedmowa	5
Śląsk.....	13
Warszawa	67
Wojsko.....	115
Wojskowa Akademia Techniczna (WAT).....	171
Aneksy	
Ojciec — Wacław Bernhardt	195
Granatowy	207
Strach.....	213
Kradzież listów powstańczej poczty harcerek.....	223
Autograf Lenina.....	227
Rozważania o ścisłości opisu zdarzeń w moich wspomnieniach.....	231



Maciej Bernhardt — urodził się 16 stycznia 1923 roku w Warszawie w rodzinie inteligentnej. Uczestniczył w kampanii wrześniowej, w czasie okupacji był zaangażowany w działalność konspiracyjną. Uczył się w legalnie działających pod okupacją: Szkole Wawelberga i Rotwanda (1940–1942) oraz w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej (1942–1944). Podczas powstania służył w 237 plutonie II kompanii batalionu „Serb” (później „Żubr”) III Obwodu (Żoliborz — „Żywiciel”). Przeżył masakrę pod Boernerowem, w której zginęło 70 procent żołnierzy 237 plutonu. Wśród poległych byli jego najbliżsi przyjaciele oraz narzeczona — Hanna Rychtowska. Pod gruzami zbombardowanego domu przy ulicy Miodowej 9 zginęła jego matka oraz siostra i jej półtoraroczny synek.

Po wojnie pracował krótko jako technik w kopalni węgla „Kleofas” w Katowicach, a następnie jako kierownik techniczny przez półtora roku organizował stacje traktorowe na śląskich „ziemiach odzyskanych”. Po powrocie do Warszawy kontynuował studia na organizującej się Politechnice Warszawskiej, uzyskując dyplom w grudniu 1950 roku. W roku 1951 został powołany do wojska i w stopniu porucznika był starszym wykładowcą w Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile. Przeniesiony w 1953 roku do Wojskowej Akademii Technicznej, obronił w 1955 roku pracę doktorską (czwarty doktorat w WAT). Od 1970 roku wykładał na Politechnice Warszawskiej, w 1987 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego i został dyrektorem Instytutu Transportu Samochodowego. Aktywny zawodowo do 2002 roku.

Wspomnienia Macieja Bernhardta ukazują nie tylko bogate życie niezwykle człowieka, ale mówią również wiele o zagospodarowywaniu „ziemi odzyskanych”, życiu codziennym w podnoszonej z gruzów Warszawie, wojskowym szkolnictwie w Polsce Ludowej i wielu innych aspektach powojennej rzeczywistości, o której nie pisze się nie tylko w podręcznikach.

